

MÓJ BRAT JÓZIU

Kazimierz Tischner

Michał Lewandowski

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2025

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin
Redakcja: Marta Koziak-Podczewińska
Korekta: Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Marcin Jakubionek
Opracowanie graficzne i skład: Lucyna Sterczewska

W książce wykorzystano fotografie pochodzące
z archiwum Kazimierza Tischnera.

ISBN 978-83-277-4426-5

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: Grafarti, Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Lux cream 80 g vol. 1.6
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

SPIS TREŚCI

Dom rodzinny – ze Spiszu i Podhala •	5
Kapłaństwo z innego świata •	35
Mój brat – szkoła życia •	53
W Krakowie – budowanie pierwszych mostów •	69
Trudne spotkania, kłopotliwe notatki •	87
Jak to na studiach... •	105
Ludzie Solidarności •	125
Bacówka, kolegiata, konfesjonał •	137
Odchodzenie – „Nie sobie żyjemy” •	179
Tak Józiu wciąż żyje •	219
Bibliografia •	235

DOM RODZINNY –
ZE SPISZU I PODHAŁA

Skąd wzięli się Tischnerowie? Jakie jest pochodzenie tego nazwiska? Ośluchaliśmy się z nim już – dzięki księdzu Józefowi – ale brzmi trochę obco.

To pytanie pojawia się często, bo rzeczywiście nazwisko Tischner brzmi nietypowo, zwłaszcza jak na rodzinę pochodzącą z Podhala. Historia jego powstania jest związana z naszymi przodkami i zawiłościami administracyjnymi w czasach, gdy Galicja była częścią cesarstwa austriackiego. Kiedyś nosiliśmy nazwisko Stolarski. Jednak w połowie XIX wieku, gdy Galicja znajdowała się pod zaborem austriackim, nazwiska były często zmieniane przez administrację, szczególnie jeśli ich wymowa sprawiała urzędnikom trudność. W spisach ludności przechowywanych w Muzeum Regionalnym w Starym Sączu kustosz Andrzej Długosz odnalazł wpisy dotyczące członków naszej rodziny – Macieja i Feliksa Stolarskich. Austriacy mieli problem z wymową nazwiska Stolarski, więc zamienili je na Tischler, co po niemiecku oznacza stolarza. Nazwisko Tischler pojawia się w dokumentach z 1848 roku. Później, jak to w tamtych czasach bywało, doszło do pomyłki urzędnika – ktoś w kancelarii wpisał nazwisko jako Tischner. Tak zostało w dokumentach, a nasza rodzina przyjęła tę nową wersję. Dotarcie do tych informacji i stworzenie drzewa

MÓJ BRAT JÓZIU

genealogicznego to zasługa Andrzeja Długosza – miłośnika księdza profesora Józefa Tischnera, pomysłodawcy i twórcy Muzeum Tischnera w Starym Sączu.

Jednak pana rodzice nie mieli wiele wspólnego ze stolarstwem...

To prawda, oboje byli nauczycielami. Chociaż, jak na to patrzę z perspektywy lat, to trzeba przyznać, że mama i tata pochodzili z dwóch odmiennych światów. Mama, Weronika Chowaniec, urodziła się i wychowała w Jurgowie. To wieś na Spiszu, gdzie życie górali od zawsze toczyło się w bliskim związku z naturą. W ich domu panowała zasada, że każdy musi się czymś zajmować – od wypasu owiec i krów po pomoc w gospodarstwie. Była z natury energiczna i zdecydowana. Już jako młoda dziewczyna wiedziała, że chce wyjść poza ramy życia w Jurgowie. Ojciec – jako człowiek odczytany – chciał, aby córki po podstawówce dalej pobierały naukę. Weronika zdecydowała się na naukę w seminarium nauczycielskim w Krakowie. To była odważna decyzja jak na tamte czasy, zwłaszcza dla dziewczyny z małej spiskiej wioski. Wspominała, jak trudne były pierwsze lata w mieście, z dala od domu. Kraków zachwycał, ale i przerażał swoją wielkością i zgiełkiem.

Mama nie zdecydowała się jednak na związanie swojego życia z Krakowem.

DOM RODZINNY – ZE SPISZU I PODHAŁA

Swoją pierwszą pracę podjęła w szkole w Murzasichlu. Było to środowisko surowe, gdzie warunki życia nie sprzyjały edukacji, ale mama umiała dotrzeć do dzieci i ich rodziców. Przekonywała ludzi, że nauka jest ważna i że pozwoli im wieść lepsze życie.

Podczas studiów w Krakowie miała adoratora – adwokata – który ofiarował jej naszyjnik z pereł. Szybko jednak uznała, że to „za wysokie progi”. Taka znajomość do niej nie pasowała. Poza tym lubiła mawiać, że „adoratorzy z Krakowa to tylko gadać potrafili”. Potem, kiedy pracowała już w Murzasichlu, zalecał się do niej pewien stolarz. Ten z kolei podarował jej zrobioną przez siebie drewnianą szafę i jakiś inny mebel. Jednak mebel i szafa nie wystarczyły; mama nie była zainteresowana tą znajomością. Jak wspominała: „Kraków – za wysokie progi, a stolarz – trochę za niskie”.

A tata?

Tata, Józef Tischner, pochodził ze Starego Sącza – miasteczka z zupełnie innym klimatem niż Jurgów. Stary Sącz to było miejsce pełne historii. Jako młody chłopak uczęszczał do tamtejszego seminarium nauczycielskiego.

Co ciekawe, w młodości był podobno bardzo nieśmiały. Mama czasem wspominała z uśmiechem, że „Józek to taki, co woli słuchać niż mówić, ale jak już coś powie, to człowiek musi się zatrzymać i pomyśleć”. Może właśnie dlatego

MÓJ BRAT JÓZIU

tak dobrze do siebie pasowali – mama była żywiołem, a tata spokojem, który łagodził jej energię.

Tata swoją drogę nauczycielską rozpoczął nieco wcześniej, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w 1924 roku. Pracował w kilku miejscowościach, między innymi w Tylmanowej, Bukowinie Tatrzańskiej i Ochotnicy-Jamnem. Tata nie był takim nauczycielem, który by głośno przemawiał czy wymagał posłuszeństwa siłą – jego autorytet wynikał z tego, jak potrafił słuchać i odpowiadać na postawione pytania.

Jak się poznali?

1 września 1927 roku mama rozpoczęła pracę w pięcioklasowej szkole powszechnej w Tylmanowej. W związku z przeniesieniem pojawiły się problemy dla rodziców młodej nauczycielki: gdzie ta Tylmanowa i jak tam dojechać? W sukurs przyszli Cyganie, którzy mieszkali po sąsiedzku jej domu rodzinnego „Krzystynioki” w Jurgowie i znali dobrze tę okolicę. Cyganie w rozmowie z rodzicami Weroniki poinformowali, że „w Bukowinie jest nauczyciel, który przyszedł z Tylmanowej, gdzie wcześniej pracował, i on wszystko wyjaśni”. Okazało się, że tym nauczycielem był... przyszły mąż Weroniki – Józef Tischner. Śmiano się więc później, że zadziałała „siła cygańska”.

Mama mówiła, że tata zwrócił na nią uwagę już na pierwszym spotkaniu, ale długo nie miał odwagi, by zrobić



Jurgów, Józio z rodzicami, 1931 r.

MÓJ BRAT JÓZIU

pierwszy krok. Z kolei tata opowiadał, że mama była kobietą, która go fascynowała swoją energią i odwagą. Śmiało się w rodzinie, że mama wzięła inicjatywę w swoje ręce, bo, jak mówiła: „czasem trzeba dopomóc losowi, żeby chłop wiedział, czego chce”.

Od 1928 roku tata pracował w Ochotnicy, a mama w Tylmanowej. Towarzyskie, „nauczycielskie” spotkania stopniowo przerodziły się w miłość między dwójgim nauczycieli. Pewnego razu, w prima aprilis, Józef zakleił z zewnątrz okna w mieszkaniu zajmowanym przez Weronikę. Efektem była „długa noc” i spóźnienie się na lekcje. Weronika wzięła to pierwotnie za niezbyt mądry żart, ale w miarę upływu czasu zrozumiała, że to z sympatii. Często po ślubie dokuczała mu, że „wyszła za niego, bo jej pociąg odjeżdżał” – miała wtedy 26 lat, a on 28. Mówiła też, że „Józek nie miał pereł ani szafy, ale miał serce i był bogaty... bo miał rower, i to wystarczyło”. Denerwowało ją natomiast, że dużo palił i przez to wychodziły mu zmarszczki na twarzy.

Miał w sobie „to coś”?

Tak, miał coś, co od razu budziło zaufanie. Był cierpliwy, wyważony i uważnie słuchał. To stanowiło dla niej pewną nowość. Potrafił zachwycić małymi gestami, które były szczerze i naturalne. Mama wspominała, że tata często pisał do niej listy. To właśnie te wiadomości i rozmowy, które prowadzili podczas spotkań nauczycielskich, zbliżyły

DOM RODZINNY – ZE SPISZU I PODHAŁA

ich do siebie. Poznali się, pokochali, a że Weronika miała „spiski” charakter, podjęła szybką decyzję o ślubie, który odbył się latem 1930 roku w jej rodzinnym Jurgowie. Mieli proste, piękne wesele, które połączyło dwie rodziny – spiską z Jurgowa i starosądecką ze Starego Sącza. Mama mawiała, że wyszła za tatę, bo wiedziała, że to człowiek, z którym może budować życie. Efektem tego małżeństwa był ich pierwszy syn Józiu, który urodził się 12 marca 1931 roku w Starym Sączu.

Rodzina mieszkała przez pewien czas w Tylmanowej, zanim przeniosła się na stałe do Łopusznej. Jak wyglądało tamtejsze życie?

Rzeczywiście, spędzili kilka lat w Tylmanowej, zanim osiedlili się w Łopusznej. Był to czas tuż po ich ślubie, kiedy oboje pracowali jako nauczyciele w miejscowej szkole. Z tego, co pamiętam z rodzinnych opowieści, w Tylmanowej zamieszkali początkowo u rodziny Mastalskich. Rodzice zajmowali jedno pomieszczenie, do którego wchodziło się ze wspólnego korytarza czy też sieni. Drugą izbę zajmowali Mastalscy, a kuchnia była wspólna dla obu rodzin. Mimo tych skromnych warunków obie rodziny żyły w zgodzie. Anna Mastalska – jak później wspominała – bardzo ceniła sobie obecność rodziców i wspólną codzienność. Podobno ta bliskość stworzyła więź przyjaźni, która przetrwała wiele lat.



Rodzina Tischnerów w komplecie. Rodzice: Weronika i Józef. Dzieci: najstarszy Józef, średni Marian i najmłodszy Kazimierz.

Jak rodzice radzili sobie z życiem w tak trudnych warunkach?

Mama i tata byli przyzwyczajeni do skromnego życia, więc wiedzieli, jak sobie radzić. Po pracy w szkole tata często zajmował się szyciem kierpców góralskich. Podobno było to jego ulubione zajęcie – rodzaj hobby, które pozwalało mu oderwać się od codziennych obowiązków. Traktował to też jako sposób na podtrzymanie więzi z tradycją Podhala, którą bardzo cenił. Mama natomiast zajmowała się domem i opiekowała się małym Józiem. W tamtym czasie rodzice mieli także pomoc domową – dziewczynę o imieniu Różia, która gotowała obiady i pomagała przy Józiu. Różia była z nimi przez cały okres pobytu w Tylmanowej.

Po pewnym czasie rodzina przeniosła się w inne miejsce.

Tak, rodzice zostali w Tylmanowej, ale przeprowadzili się do rodziny Paluchów, gdzie – z tego, co wiem – warunki były nieco lepsze. Ojciec rodziny Paluchów przygotował dla nich spichlerz, gdzie postawił też kuchnię, co dawało rodzicom więcej niezależności. Mimo to codzienność wciąż była pozbawiona luksusów. Tylmanowa stanowiła dla rodziców etap przejściowy, ale z pewnością wpłynęła na nich i na to, jak później wychowali swoje dzieci.

MÓJ BRAT JÓZIU

W końcu wylądowali w Łopusznej.

Tak, rok 1932 był przełomowy dla naszej rodziny. Tata objął stanowisko kierownika dwuklasowej szkoły publicznej w Łopusznej. To była dla niego duża odpowiedzialność, ale też wyróżnienie, które dawało nie tylko możliwość pracy z dziećmi, ale także lepszy status społeczny. Zamieszkali w prywatnym domu obok szkoły – „U Kuboska”, należącym do rodziny Klamerusów. Warunki były skromne, ale bliskość szkoły ułatwiała życie. Mama często opowiadała, że tata jako kierownik spędzał dużo czasu w szkole, dbając nie tylko o nauczanie, ale też o organizację całej placówki. Od 1 listopada 1932 roku mama została nauczycielką w tej samej szkole. To było dla niej naturalne – przez cały czas towarzyszyła tacie w jego pracy i wspierała go w prowadzeniu szkoły.

Jak wyglądało życie codzienne Tischnerów w tym miejscu?

Toczyło się głównie wokół szkoły, która stanowiła dosłownie centrum ich świata. Tata zajmował się organizacją zajęć, rozdzielaniem obowiązków wśród nauczycieli i współpracą z rodzicami uczniów. Mama natomiast pomagała mu w prowadzeniu lekcji. Dom, w którym mieszkali, był – jak wspominałem – ubogi, ale tętnił życiem. Ludzie przychodzili do taty nie tylko z problemami szkolnymi, ale też osobistymi: pytali o radę, prosili o pomoc w sporządzaniu pism urzędowych.

DOM RODZINNY – ZE SPISZU I PODHAŁA

Łopuszna stała się dla nich prawdziwym domem – miejscem, gdzie mogli realizować swoje powołanie i gdzie mały Józio spędził kluczowe lata swojego dzieciństwa. To tutaj chłonał atmosferę szkoły, przywiązanie do tradycji góralskiej i bliskość z naturą, które później odegrały ogromną rolę w jego życiu i filozofii.

Czy były w tym okresie jakieś szczególne wydarzenia, które utknęły Józiovi w pamięci?

Jednym z najbardziej dramatycznych wydarzeń była ciężka choroba, która dotknęła go, kiedy miał niespełna trzy lata. Mama zawsze wspominała, że był to czas wielkiej próby i ogromnego strachu o jego życie.

Mama była z Józkiem u swoich rodziców w Jurgowie, gdzie spędzali święta Bożego Narodzenia. Józio zachorował nagle. Dostał – ja to się u nas mówi – „bóli brzuszka”. Rodzice podejrzewali, że się zatrzał. Tata mamy pojechał saniami po lekarza, który przyjechał na święta do Bukowiny Tatrzańskiej. Diagnoza: zatrucie. Dał leki, ale mama nie zdążyła ich podać, gdyż mały Józio był już w bardzo złym stanie. Podobno „leciał z rąk”. Zapadła decyzja, aby jechać do szpitala w Nowym Targu. Ojciec musiał przewieźć go kilkanaście kilometrów w mroźny zimowy dzień saniami do szpitala. Po dotarciu – nowa diagnoza: pęknięcie wyrostka robaczkowego. Przyjmujący go lekarz powiedział: „Przywieźliście nam martwego, ale będziemy ratować...”.

MÓJ BRAT JÓZIU

Sytuacja wydawała się krytyczna, a warunki medyczne w tamtych latach, szczególnie na terenach górskich, były bardzo trudne. W rodzinie krążyła opowieść, którą sam Józiu później przywołał podczas jednego ze swoich kazań. Gdy wieziono go do szpitala, dziadek Józia i nasza mama zatrzymali się po drodze w karczmie w Gronkowie, aby dać mu tak zwane ostatnie namaszczenie i aby konie odpoczęły. Podobno to właśnie tam, w tej gospodzie, Józiu poczuł zapach, który – jak sam mówił – „przywrócił mu życie”. Był to zapach karczmy, jedzenia, ciepła tego miejsca, ale wspominał także, że poczuł zapach swojego dziadka. To była niezwykła, niemal mistyczna opowieść o tym, że „dusza z duszą się spotkała”, jak mawiał Józiu.

Kiedy dotarli do szpitala, mama i dziadek poszli do kaplicy, żeby modlić się o zdrowie Józia. Mama opowiadała, że w tamtym momencie oddała go pod opiekę Matki Boskiej Częstochowskiej. Mówiła: „Prosiłam Matkę Boską, żeby dała mu pożyć. To jest jej syn pierworodny; jeszcze przyjdzie czas, kiedy stanie u jej boku w niebie”. Te gorące modlitwy zostały wysłuchane: operacja się udała. Józiu wyszedł z tej beznadziejnej opresji, i – jak się z czasem okazało – wybrał drogę kapłańską.

Myślę, że to wydarzenie miało ogromny wpływ na duchowość Józia i sposób, w jaki patrzył na świat. On zawsze miał w sobie niezwykłą wrażliwość i poczucie, że jego życie ma głęboki sens. To przekonanie było w nim tak silne, że



Józiu i Marian, 1940 r.

MÓJ BRAT JÓZIU

często mówił, iż został oddany Matce Boskiej nie tylko w tamtym momencie, ale na całe życie.

Zwieńczeniem tej opowieści był moment jego święceń kapłańskich w 1955 roku. Mama widziała w tym znak – mówiła, że Matka Boska przyjęła Józia pod swoją opiekę w dniu, gdy został księdzem. To była dla niej ogromna radość i poczucie, że jej modlitwy z tamtej strasznej nocy zostały wysłuchane.

Jakim dzieckiem był Józiu?

Mama opowiadała, że od najmłodszych lat wykazywał zainteresowanie duchowością, choć na swój dziecięcy sposób. Lubił bawić się w „msze” – stawiał krzesło jako ołtarz, brał kawałek materiału na ornat i wygłaszał kazania. Wszyscy w rodzinie wspominali z uśmiechem jedno z tych kazań – wyszedł na krzesło i grzmiał: „Ludzie! Nie pijcie łódki, ino piwo!”.

Widać było, że ma dar do obserwowania ludzi i mówienia o tym, co widzi, w sposób, który przyciągał uwagę. Jego dziecięce „kazania” były proste, ale zawsze trafiały w sedno. A poza tym był normalnym dzieckiem, jak każdy z nas. Bawił się, broił, poznawał otaczający go świat. Myślę, że niebagatelny wpływ na to, kim się stawał, miała Łopuszna oraz dziadek Sebastian z Jurgowa. Otoczenie, w którym dorastamy, jakoś nas kształtuje, a Józiu miał wielkie szczęście dojrzewać w takim miejscu. Była to przestrzeń, gdzie

DOM RODZINNY – ZE SPISZU I PODHAŁA

tradycja spotykała się z historią i pięknem natury. Józiu często mówił, że te krajobrazy, dźwięk rzeki i opowieści o przeszłości formowały jego duszę. „Wśród takich drzew i takich cieni rosła moja dusza” – tak opowiadał o tamtych latach. Łopuszna dała mu poczucie wolności, ale też ugruntowała jego przywiązanie do góralskiej tradycji, co później odgrywało kluczową rolę w jego pracy i filozofii.

Lata okupacji państwo Tischnerowie i Józiu także spędzili w Łopusznej?

W listopadzie 1937 roku ojciec – w dowód uznania jego pracy i zasług jako nauczyciela – został przemianowany na kierownika publicznej szkoły pierwszego stopnia w Łopusznej. Jednak wybuch wojny w 1939 roku całkowicie zmienił życie rodziców. W 1940 roku decyzją Generalnego Gubernatorstwa ojciec został przeniesiony najpierw do Chabówki, a następnie w listopadzie tego samego roku do Raby Wyżnej. Były to trudne zmiany, narzucone przez okupanta. W Chabówce tata widział wielką biedę i cierpienie lokalnej ludności. Wiele razy opowiadał, że to tam, w tym czasie, spotkał się z najciemniejszymi stronami okupacji – grabieżami, poniżaniem ludzi i poczuciem bezsilności wobec tego, co działo się wokół.

Mama była w szczególnie trudnym położeniu. Od 1 kwietnia 1940 roku aż do stycznia 1945 roku została zmuszona do „bezczynności przymusowej” – okupant zabronił

MÓJ BRAT JÓZIU

jej pracy na stanowisku nauczycielki. To był dla niej czas pełen frustracji, bo praca była dla mamy nie tylko źródłem utrzymania, ale i pasją. Ale nie poddawała się; starała się wspierać ojca i dbać o dom. W 1945 roku, po wyzwoleniu, została ponownie zatrudniona w publicznej szkole powszechnej w Rogoźniku, a już od września tego samego roku wróciła na swoje stanowisko w Łopusznej.

Myślę, że Józiu bardzo przeżył ten czas...

Był wrażliwym chłopcem, który obserwował świat i wiele zapamiętywał. A jego dzieciństwo wypełniały kontrasty – opisywał to w swoich pamiętnikach. Obok idyllicznych wspomnień z Łopusznej, gdzie zachwycił się przyrodą, widział też okrucieństwo wojny. Wspominał na przykład policjanta, który zabrał chłopca z Chabówki ziemniaki. Ten człowiek klęczał na drodze obok wózka z ziemniakami i błagał, by mu je zostawić – żebrał o nie, aby wykarmić swoją wielodzietną rodzinę. I to mu zostało w perfidny sposób zabrane. Ten obraz policjanta i klęczącego, błagającego o litość chłopca często przewijał się w opowiadaniach Józia podczas różnych spotkań. Był to obraz bezsilności człowieka wobec władzy.

Wspominał też podróż pociągiem z ojcem z Chabówki do Nowego Sącza. To była trasa, na której często dochodziło do napadów partyzanckich, dlatego w pociągu jeździła niemiecka żandarmeria i polscy policjanci.

DOM RODZINNY – ZE SPISZU I PODHAŁA

Podczas jednej z takich podróży do wagonu weszli żandarmi, a polski policjant rozkazał wszystkim mężczyznom wstać i podnieść ręce. Józiu, który miał wtedy około trzynastu lat, nie był pewien, czy to polecenie odnosi się też do niego. Wstał jednak, niepewnie podnosząc ręce. Policjant podeszedł do niego, zapytał o wiek, a następnie kazał mu usiąść. Józiu wspominał, że czuł się wtedy „niedowartościowany”.

Wojna się skończyła, życie rodziny Tischnerów wróciło do względnej normalności...

Tak – po zakończeniu wojny rodzice powrócili do Łopusznej, gdzie mogli znów skupić się na odbudowie swojego życia. Ojciec od 1 września 1945 roku został przywrócony na stanowisko kierownika szkoły, które zajmował przed wojną, a mama – jak wspominałem – wróciła do pracy jako nauczycielka.

Państwo Tischnerowie mieli dwóch synów: Józefa i Mariana. Wtem na świat przychodzi Kazimierz Tischner. Mało brakowało, a byłbym Marcinem! (śmiech)

To znaczy?

Podobno w ostatniej chwili doszło do zmiany mojego imienia. Sprawcą tego był... mój brat Józiu. Jego serdecznym kolegą z sąsiedztwa był Kazek Maciasz. Kiedy podczas



Rok 1958. Szkoła podstawowa w Łopusznej. Uczniowie klas od IV do VII.
Po prawej kierownik Józef Tischner. Po środku w drugim rzędzie
z pochyloną głową, Kaziu Tischner.